

LOS jest dla mnie ŁASKAWY

„Mimo wszystko zachwycam się życiem i światem”, mówi **Alicja Majewska**, choć los nie oszczędzał jej bólu. Przez lata opiekowała się ciężko chorą mamą, bardzo przeżyła też śmierć Zbigniewa Wodeckiego, z którym łączyła ją wielka przyjaźń.

ROZMAWIA *Anna Zaleska*

L

Łatwiej jest oceniać innych czy samemu być ocenianym? Jak się pani czuje w fotelu jurora „The Senior Voice”?

Do tej pory rzadko przyjmowałam propozycje jurorowania w konkursach, głównie z braku czasu. Ale gdy już się zgodziłam, pozytywną stroną mojej obecności było to, że dla młodych ludzi, którym nie udało się wygrać, mogłam być pocieszeniem. Bo ja sama przed laty, gdy na przykład występowałam

w konkursie piosenki radzieckiej – moje pokolenie miało niewiele możliwości zaistnienia – byłam przykładem na to, że przegrana o niczym nie przesądza. Trzeba sobie powiedzieć: tym razem byli lepsi ode mnie, ale próbuję dalej. Choć też jako juror mówiłam szczerze, że jeżeli na dziesiątym konkursie nie odniesie się sukcesu, może warto pomyśleć o innej pasji. To jednak były konkursy dla młodzieży. „The Senior Voice” jest czymś innym.

Na czym ta inność polega?

Tu ludzie nie walczą już o karierę, tylko realizują marzenia. Albo pragną wrócić do czegoś, co im się w życiu nie udało, a teraz mają szansę stanąć na zawodowej scenie, zetknąć się z profesjonalnymi muzykami, pokazać się światu... Ponieważ jestem osobą z empatią, to Włodek Korcz powiedział, że widzi mnie w tym miejscu. Na spotkaniu z producentami chciałam się jednak upewnić, czy nie będę musiała wycza-

rowywać w sobie miłości do każdego uczestnika, absolutnego zachwyty i szczęścia. Zapewniono mnie, że nie, że mam być sobą.

Gdy w 1972 roku zdawała pani swój najważniejszy egzamin – ministerialny egzamin na piosenkarkę – kto siedział w komisji?

W moim składzie byli: profesor Kazimierz Rudzki, pani Hanka Bielicka, pianista i kompozytor Krzysztof Sadowski... Ten egzamin był rzeczywiście wielkim stresem, bo od niego zależało, czy będę mogła wykonywać zawód piosenkarki. Musiałam zaśpiewać przed komisją, ale też wykazać się wiedzą z historii muzyki, z solfeżu itd. Bez dyplomu nie miałabym prawa do honorarium za występy.

Pewnie do dziś doskonale pani pamięta tamten dzień?

Oczywiście! Pomyślałam sobie, że muszę być odpowiednio ubrana



na ten egzamin. Nie wystroić się, wyglądać skromnie, ale jednak elegancko i modnie. Wtedy popularne były tak zwane mokre materiały, coś w rodzaju satyny. Krawcowa, pani Helenka, uszyła mi sukienkę wzorowaną na takiej, którą wcześniej przywiozłam z koncertu w RFN. Była z czarnego połyskliwego materiału. Suwak, kaptur, obcisłe rękawy, do tego zamszowe kozaki, zrobione na zamówienie u słynnego warszawskiego szewca, pana Feliksa. Po egzaminie pan profesor Rudzki, człowiek o cudownym poczuciu humoru, wywoływał nas, żeby przedstawić ocenę. W pewnym momencie wychodzi na korytarz i mówi: „Pani w stroju pletwonurka jest proszona”. (śmiej) Egzamin poszedł dobrze, czwórka dostałam. Uzyskałam uprawnienia i byłam najszcześliwszą osobą na świecie.

Tydzień później jeszcze szczęśliwszą, bo obroniła pani pracę magisterską z andragogiki.

To było dla mnie o wiele mniej istotne i już się tak bardzo nie stresowałam. Ważniejsze było, jak mnie ocenią za śpiewanie. Ale moja praca magisterska też miała związek z muzyką. Postawiłam wtedy tezę, której dziś już bym nie broniła. Twierdziłam, że młodzi ludzie, którzy robią kariery estradowe, nie załamują się, gdy minie ich pięć minut sławy. Nie zwichną sobie życia, bo mają wykształcenie i inne zawody w rezerwie. Moją grupę badawczą stanowili muzycy, z którymi wtedy byłam w trasie koncertowej. W jednym autobusie jeździł Czesław Niemen ze swoimi muzykami, duet fortepianowy Marek i Wacek, Marek Grechuta z Anawą i nasz zespół Partita. Gdy przebadawałam tę grupę, to rzeczywiście niemal wszyscy byli studentami albo mieli wyższe wykształcenie. Poziom zaniżył tylko basista, który grał u Czesława Niemena, skończył jedynie sześć klas szkoły podstawowej. Ale miał talent, do dziś jest cenionym muzykiem.

Teraz już pani nie uważa, że można bez żalu zrezygnować z muzyki i po prostu zająć się w życiu czymś innym?

Z perspektywy lat widzę, że nie. Wiele zespołów, które w latach 70. były na topie, a teraz już nie są tak popularne,



mimo wszystko resztkami zdrowia, sił, talentu trzyma się tego zawodu. To nieprawdopodobny bakcyl. Raz, że się robi to, co się kocha. Dwa – to też adrenalina, napięcie, emocje związane z koncertami. Moja serdeczna przyjaciółka z zespołu Partita, Anka Pietrzak, w pewnym momencie życia podjęła pracę jako pełnomocnik wojewody do spraw uzależnień. Stanowisko bardzo odpowiedzialne, prestiżowe. Kiedyś mi jednak powiedziała: „Wiesz, jak ja tam chodziłam, to chodziłam do pracy. A jak jadę na występ, nawet setki kilometrów, gdzieś do małej miejscowości na końcu Polski, na jakiś mały plenerek, to ja nie jadę do pracy, ja jadę na koncert”. Sama mam tę świadomość. Często sobie myślę: „Boże, jaki los dla mnie łaskawy, że przez tyle lat nie było ani jednego

momentu, bym musiała zawodowo robić coś innego niż śpiewanie”.

A nieraz się słyszy, że życie artysty jest takie stresujące.

Bywa ogromnie stresujące! Moje życie zawodowe to nie był ciąg samych sukcesów. Raz się wygrało, raz się przegrało. Raz zaprosili na festiwal czy koncert, raz nie. Jak nie zaprosili, to rozgoryczenie. Był taki moment, gdy myślałam, że będę musiała zrezygnować ze śpiewania. Zanim stanęłam na scenie w Opolu w 1975 roku pod swoim nazwiskiem, przez cztery lata występowałam w zespole Partita. Już wtedy poznałam smak tej adrenaliny, radości ze śpiewania, popularności. Festiwale, telewizje i tak dalej. Ale głos nie wytrzymał tak katorżniczej pracy, jaką jest

*Jestem
uzależniona
od Włodzimierza,
absolutnie.
Współpracujemy
blisko 50 lat.
Nieraz od kolegów
słyszałam, że
jestem męczennicą.
Ale daj Boże
każdemu być taką
męczennicą, mieć
możliwość pracy
z kimś tak dobrym
i wymagającym.*

śpiewanie chórków, i musiałam odejść. Byłam wtedy głęboko nieszczęśliwą osobą. Uratowało mnie to, że dostałam się do Teatru Muzycznego na Targówku, obecnie Rampa. Znow musiałam zdawać egzamin. Wprawdzie dyrektorem artystycznym był tam Włodzimierz Korcz, który znał już moje umiejętności, ale zwyczajem dyrekcji było, że każdy kandydat musiał zostać przesłuchany w obecności kolegów. To też był wielki stres.

Pani zawsze miała wyjątkowe szczęście do pracy z wyjątkowymi ludźmi. Specjalnie dla pani piosenki pisali Włodzimierz Korcz i Wojciech Młynarski.

Mam predyspozycje do śpiewania piosenek Włodka. Bo jego piosenki wyróżnia emocjonalność, a ja też mam w sobie

dużo emocji. Ale żeby ze sobą współpracować przez blisko 50 lat, musi za tym iść wiele innych rzeczy. Mamy podobną wrażliwość, ale też podobną hierarchię wartości. Co nie znaczy, że to wszystko jest takie łagodne.

Zbigniew Wodecki mówił o panu Włodzimierzu: „fanatyk perfekcji do szlagtrafienia”.

(śmiej) Włodek jest rzetelnym muzykiem, klasycznie wykształconym, więc po prostu gdy jest możliwość zawalczenia, by coś było maksymalnie dobre – on walczy. Nie macha ręką.

Nie miała pani czasem ochoty powiedzieć: „Już to mamy, jest dobrze, chodźmy do domu”?

Nie, tak się nie da. Nieraz od kolegów słyszałam, że jestem męczennicą. Ale daj Boże każdemu być taką męczennicą, mieć możliwość pracy z kimś tak dobrym i wymagającym. Kocham próby i wiem, do czego to Włodka piłowanie prowadzi. Choć czasem zaboli, gdy chce nam uzmysłować jakąś słabość czy manierę, i robi to w sposób karykaturalny. Ale ja się nigdy nie obawiałam krytycznych uwag. To jego „jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz” dotyczy zwłaszcza śpiewów zbiorowych. By parę głosów jak najlepiej zabrzmiało, trzeba czasu.

A też wiadomo, że gdy na próbach jest kilka osób, to ktoś powie żart, ktoś się rozproszy, komuś zadzwoni telefon... Więc Włodek nas dyscyplinuje. Po łapach piórnikami. Zbyszek tak żartował, ale mówił, że gdyby miał komuś powierzyć pieczę nad ważnym projektem, to tylko Włodkowi.

Piękne są te przyjaźnie, które się między państwem zawiązały w czasach młodości i trwają po kilkadziesiąt lat.

Wie pani, my już jesteśmy rodziną. To są koncerty, to są próby, to jest bywanie u siebie. Gdybyśmy się nie przyjaźnili, pewnie już dawno zawodowo każdy z nas poszedłby swoją drogą. Ja jestem uzależniona od Włodzimierza, absolutnie. Komfort pracy z nim, to „męczeństwo”, niezwykle doceniam. Żadna piosenkarka nie ma chyba tak dobrze jak ja. Gdy podpisałam kontrakt z wytwórnią Sony na nowe płyty,

to nie dość, że Włodek skomponował mi piękne piosenki, to jeszcze wyciągał teksty od autorów. Ja musiałam tylko zaśpiewać i poddać się jego „katowaniu”. Bo nie jest tak, że Włodek napisze piosenkę, oddaje i mówi: „Rób sobie z tym, co chcesz”. On z każdym nad tym pracuje.

Śpiewała pani piosenki Wojciecha Młynarskiego. To też artysta, który bardzo dużo wymagał i od siebie, i od innych.

Od zawsze Wojtko uwielbiałam i darzyłam ogromną estymą. Jako człowieka, jako artystę. Nie był jednak łatwy we współpracy. Miał dobre i złe momenty. Tu też miałam szczęście, że wszystko przechodziło przez Włodzimierza Korcza. Nawet gdy pojawiła się myśl, że mistrz mógłby coś bardziej po mistrzowsku w którymś momencie ująć, to ja sama bym się nie odważyła tego powiedzieć. Ale gdy Wojtek z Włodkiem wysyłali kogoś na festiwal ze swoją piosenką, to wiadomo było, że wróci „co najmniej z główną nagrodą”, tak wtedy pisano. Najważniejsze moje utwory to te z tekstami Wojtki i muzyką Włodka: „Jeszcze się tam żagiel bieli” czy „Odkryjemy miłość nieznaną”. Gdzie bym dziś była, gdyby nie było tych piosenek – nie wiem.

Przyjaźń ze Zbigniewem Wodeckim to musiało być coś wyjątkowego w pani życiu.

Tak mi się zdarzyło cudownie. Zbyszek mnie lubił. Często bywał u mnie w domu. Teraz rozmawiając z panią, siedzę w kuchni, na krześle, na którym siadywał Zbyszek. Nad krzesłem wisi szafka. Gdy Zbyszek wstawał, to się często o nią głową uderzał...

Próby odbywały się u pani w domu?

Tak, czasem o Włodka, czasem u mnie. U mnie tak luzacko było. W kuchni posiedzieliśmy, jakiś śledzik, kawka. Zbyszek ciągle gonił po Polsce, po świecie, więc bardzo doceniał domową atmosferę. Znałam jego rodzinę przez tyle lat – Krysię, córki, siostrę. Wspaniali, szlachetni ludzie. Zbyszek miał świadomość mojego uwielbienia, Włodka też. Choć oczywiście Włodek nie był bezkrytyczny, pewne cechy ►

u niego punktował. Lenistwo, że za mało ćwiczy albo nie wiadomo co. Gdy graliśmy koncerty, to potem były kolacyjki po koncertach i opowieści Zbyszka. O bumerangu, który przywiózł synowi z Australii, pokazał, jak się go rzuca, i tyle ten bumerang widzieli... O krakowskich tramwajarzach, którzy się przed nim nawzajem ostrzegali, bo wiedzieli, że nie jest dobrym kierowcą... Słyszeliśmy te historie tysiąc razy, a on je cały czas tak opowiadał, że umieraliśmy ze śmiechu. Miał ogromny dar do anegdot. I zaskakiwania. Sprawiania radości, przyjemności. Kiedyś zaprosiłam moje przyjaciółki do restauracji, w której Zbyszek często bywał. Wiedział, że tam się spotkamy. Gdy przyszło do płacenia rachunku, kelner mówi: „Przepraszam, ale to już uregulowane”. Pytam: „Jak to? Kto uregulował?”. A kelner na to: „Ambasada Izraela”. Myślę: „Dlaczego? O co chodzi? Nawet nigdy tam nie byłam!”. I w końcu domyśliłam się, że to Zbyszek. (śmiech)

Odejście Zbigniewa Wodeckiego musiało być dla państwa niewyobrażalnie bolesne.

To dla wszystkich było straszne. Do tej pory gdy jeździmy po Polsce, słysząc wielki żal. Ludzie traktują Zbyszka bardzo osobiście. Mówią: „Dlaczego on nam to zrobił?”. Był powszechnie kochany. Pamiętam, kilka dni po jego śmierci zagadnęła mnie pani, która na straganie sprzedawała kwiaty. I mówi: „Dlaczego pan Zbyszek?! Ja bym wolała sama umrzeć, żeby tylko on żył!”. Ludzie tak to przeżywali. A my... Co ja mogę powiedzieć... Wciąż strasznie nam go brakuje.

Nagrała pani dla Zbigniewa Wodeckiego przepiękną piosenkę „Żal niebieski”. Niezwykle wzruszająca...

Monika Partyk napisała piękny tekst, Włodek Korcz muzykę. Nie mogłam tego śpiewać. Minał rok od śmierci Zbyszka, a ja wciąż nie byłam w stanie. Tam są tak dojmujące słowa, sformułowania, które tak głęboko mnie dotykały, że nie potrafiłam przez nie przejść. „Po co tobie to majowe dzwieczne słońce? / Ty czterdzieści masz miliardów własnych słońc. / A w nas serca jak jeziora chłodniejące, / jak powoje, co



nie mają gdzie się piąć”. Wie pani, bo my wszyscy wokół niego byliśmy jak te powoje, które mogły się po nim wspinać ku radości, ku słońcu. On był takim naszym filarem. I zawodowo, i prywatnie. Czułam się trochę jak ten powój.

W pani piosenkach jest wiele momentów, które chwytają za gardło ze wzruszenia. Dużo w nich liryzmu, ale i życiowej mądrości.

To pewnie wynika z tego, że pisali je utalentowani, mądry ludzie. W piosenkach są poruszane w kółko te same tematy, dotyczące życia, uczuć, rozstań, samotności, tylko jest to pisane z różnym talentem. Jeśli chodzi o moje piosenkarskie credo, to wskazałabym utwór napisany przez Wojciecha Młynarskiego: „Piosenki, z których się

żyje”. To takie credo piosenkarza, co to się tuła od widowni do widowni, od sceny do sceny, od hotelu do hotelu: „I są piosenki, z których się żyje, / siostry serdeczne, żony niczyje. / W walizce noszą sposób na życie / i okulary ciemne o świcie”.

Pani wciąż koncertuje, razem z Włodzimierzem Korczem jeździcie po całej Polsce. Jak pani to robi, że po 70. urodzinach jest pani w tak znakomitej formie? A głos jest jeszcze mocniejszy niż w młodości.

Nie wiem, skąd to się bierze. To wbrew fizjologii. Jestem jakimś wybrykiem natury. (śmiech) Lata temu, gdy zaczęłam dostawać pieniądze za występy, pobierałam lekcje śpiewu u profesor Olgi Łady. Regularne, przez kilkanaście



Płyta Alicji Majewskiej „Życ się chce” z piosenkami Włodzimierza Korcza ukazała się w wytwórni Sony.

lat, aż do jej śmierci. To na pewno swoje robi. Ale chyba nie tylko. Te ostatnie lata są dla mnie dobre, bo czerpię dużą satysfakcję z uprawiania zawodu. Słowa uznania psychicznie podładowują. A jak psychika jest w porządku, to i ciało z tego korzysta. Tak mi się wydaje. Żadnych specjalnych ćwiczeń nie robię, tyle że regularnie chodzę na masaże. Ostatnio masażysta, pan Janusz, pyta: „Jak się pani czuje? Co panią boli?”. A ja mówię: „Nic mnie nie boli. Chyba właśnie dlatego, że tyle lat do pana chodzę”. Na dworach cesarzy Chin lekarza zwalniano z posady, gdy pacjent zaczynał chorować. Jego rolą było bowiem nie leczenie chorób, ale zapobieganie im. Trzeba się zdrowo odżywiać, ruszać się i regularnie badać. Jak tylko coś tam odczuwam, biegnę do lekarza.

Oprócz pracy, którą się kocha, i przyjaźni, co nadaje życiu urodę?

Jak pisze Magda Czaplińska w jednej z piosenek: „Na jutro nie odkładam nic, / bo jutro może się nie zdarzyć”.

Teraz, gdy na cały świat spadło nieszczęście pandemii, jeszcze dobitniej zrozumieliśmy, że trzeba hołubić to, co jest, cieszyć się tym, co mamy. I cały czas pamiętać, że nie jesteśmy sami. Wokół nas ludzie – bliżsi, dalsi – borykają się z życiem. Dopóki możemy być komuś pomocni, doceniajmy tę szansę.

Teraz, gdy na cały świat spadło nieszczęście pandemii, jeszcze dobitniej zrozumieliśmy, że trzeba hołubić to, co jest, cieszyć się tym, co mamy. I cały czas pamiętać, że nie jesteśmy sami. Wokół nas ludzie – bliżsi, dalsi – borykają się z życiem. Dopóki możemy być komuś pomocni, a sami nie potrzebujemy pomocy, doceniajmy tę szansę. Miałam doświadczenie obcowania z ciężką chorobą mojej mamy. Mama po udarze mieszkała u mnie przez 12 lat. Nie chodziła i nie mówiła. Poznałam, co to znaczy obcować z bólem, z niezwykle trudną sytuacją, na którą możemy wpływać tylko do pewnego stopnia. Ale dopóki jakiś wpływ mamy... Ważne, by mieć świadomość, że zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy zrobić dla siebie i dla kogoś. Nieraz pojawia się pytanie: „A dlaczego ty masz to robić, a nie ktoś inny?”. Mnie się wydaje, że jeżeli mamy wrażliwość na czyjąś trudną sytuację, mamy jej świadomość, to musimy się nad tym pochylić.

Dobro, które się ludziom daje, wraca do człowieka?

Nie! Ja tego w ogóle nie biorę pod uwagę! Tak się mówi, że ktoś się odwzajemni, że dobro wraca. Jeżeli się czyni dobro, to nie z myślą, że ono wróci, tylko z powinności, z poczucia, że musimy to zrobić. Bo jak nie zrobimy, to nie będziemy potrafili z taką świadomością żyć. Nigdy nie oczekuję niczyjej wdzięczności.

Los nie oszczędzał pani bólu, a jednak ma pani w sobie tyle pogody ducha i optymizmu.

Jestem postrzegana jako osoba pełna energii i radości. Ja mimo wszystko zachwycam się życiem i światem. Wśród pieśni sakralnych, które nagraliśmy z Włodkiem, jest przepiękny utwór do tekstu Moniki Partyk „Wniebowzięty pean”: „Spowiadałam się Tobie z podziwu, Ojciec (...) że jest kantata Bacha i adagio śniegu / Pustynie, pełnie, duszy kolibra ćwierć / Spowiadałam się Tobie z podziwu bez brzegów / Że ręce, że życie, że czereśnie, że śmierć”. Pytała mnie pani o urodę życia. To jest właśnie jej istota.

ROZMAWIAŁA Anna Zaleska